

W trakcie wędrówki między rzekami Wabanaki musieli nieść swoje kanoe i całe mienie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak ważne jest unikanie nadmiernego obciążenia, rozumieli, że niektóre rzeczy należy zostawić po drodze. Nic nie hamowało marszu bardziej niż strach, który często okazywał się brzemieniem najtrudniejszym do zrzucenia.

Bunny McBride, *Women of the Dawn*

Prolog

Wierzę w duchy. Duchy to ci, którzy nas nawiedzają, ci, którzy odeszli. Wiele razy czułam je obok siebie, czułam, że są obecne, że obserwują, gdy nikt z całego świata żywych nie wie, co się dzieje, albo się o to nie troszczy.

Mam dziewięćdziesiąt jeden lat i prawie wszyscy, którzy kiedyś pojawili się w moim życiu, są już duchami.

Niekiedy zjawy te są bardziej rzeczywiste niż ludzie, bardziej realne niż Bóg. Wypełniają pustkę swoją obecnością, ciepłem i konsystencją, jak rozczyn na chleb rosnący pod płótnem. Moja babcia, z łagodnymi oczami i skórą przyprószoną talkiem. Tata, trzeźwy, roześmiany. Mama, nucąca melodię. Gorycz, alkoholizm, rozpacz znikły w tych urojonych inkarnacjach; jako zmarli pocieszają mnie i chronią, inaczej niż za życia.

Doszłam do przekonania, że niebo to zakątek w pamięci innych ludzi, w którym trwa to, co w nas najszlachetniejsze.

Możliwe, że jestem szczęściarą – gdy miałam dziewięć lat, pojawiły się przy mnie duchy moich rodziców; gdy miałam dwadzieścia trzy, przyszedł duch mężczyzny mojego życia. Do tego moja siostrzyczka Maisie, wierny aniołek, zawsze na moim ramieniu. Ona półtoraroczna, ja dziewięcioletnia; ona trzynasto-, ja dwudziestolatka. Teraz ma osiemdziesiąt cztery lata, a ja dziewięćdziesiąt jeden. Wciąż jest przy mnie.

Zapewne nie zastąpią żywych ludzi, ale nie pozostawiono mi wyboru. Mogłam szukać pocieszenia w ich obecności albo ponieść klęskę, rozpaczając z powodu straty.

Wzywały szeptem, abym się nie poddawała.

Spruce Harbor, Maine, 2011

Przez ścianę sypialni Molly słyszy, jak w salonie obok przybrani rodzice rozmawiają, o niej.

– Nie na to się umawialiśmy – mówi Dina. – Gdybym wiedziała, że ma tyle problemów, nigdy bym się nie zgodziła.

– Wiem, wiem. – Ralph ma zmęczony głos.

Molly dobrze wie, że to on był za adopcją. Dawno temu, w młodości, gdy był „zbuntowanym nastolatkiem” – jak jej powiedział, nie rozwijając tematu – pracownik społeczny z jego szkoły zgłosił go do programu *Big Brother* i zawsze czuł, że ten jego „starszy brat” – jego mentor, jak go nazywał – pilnuje, by nie zszedł z właściwej drogi. Ale Dina od samego początku traktowała ją podejrzliwie. To, że przed Molly mieli chłopca, który próbował podpalić szkołę, nie było okolicznością sprzyjającą.

– Wystarczy mi stresów w pracy – mówi Dina, podnosząc głos. – Nie trzeba mi takiego syfu, kiedy wracam do domu.

Dina jest dyspozytorką na posterunku policji w Spruce Harbor i o ile Molly wiadomo, w jej pracy nie ma się czym specjalnie stresować – kilku pijanych kierowców na krzyż, od czasu do czasu podbite oko, drobne kradzieże i wypadki. Jeśli chce się zostać dyspozytorem, to Spruce Harbor jest prawdopodobnie najmniej stresującym miejscem pod słońcem. Ale Dina jest z natury bardzo drażliwa. Byle drobiazg

potrafi wyprowadzić ją z równowagi, zupełnie jakby zakładała, że wszystko ma przebiegać bezproblemowo, gdy zaś dzieje się inaczej – a, oczywiście, często dzieje się inaczej – jest zdumiona i urażona.

Z Molly jest zupełnie na odwrót. Przez siedemnaście lat życia tyle rzeczy poszło nie po jej myśli, że zdążyła się przyzwyczaić. A gdy tylko sprawy układają się dobrze, czuje się nieswojo.

A tak właśnie układały się z Jackiem. Kiedy rok wcześniej, w dziesiątej klasie, przeniosła się do Mount Desert Island High School, większość dzieciaków za wszelką cenę jej unikała. Mieli własnych przyjaciół, własne kliki, a ona nigdzie nie pasowała. Fakt, że jej postawa niczego nie ułatwiała; doświadczenie nauczyło ją, że lepiej być twardzielem i dziwakiem niż żalowaną i bezbronną niunią, dlatego nosi swoją maskę gotki niczym zbroję. Jack był jedynym, który starał się tę maskę zsunąć.

Była połowa października, lekcja wiedzy o społeczeństwie. Gdy przyszło dobrać się w zespoły projektowe, Molly jak zwykle została sama. Jack zaproponował, by dołączyła do niego i do Jody'ego, który bynajmniej nie był tym zachwycony. Molly burmuszyła się przez całe pięćdziesiąt minut lekcji. Co on taki miły? Czego od niej chce? Czy jest jednym z tych gości, których kręci zadawanie się z dziwolągami? Tak czy siak, nie zamierzała ani trochę spuścić z tonu. Trzymała się z tyłu, z założonymi rękoma, zgarbiona, z czarnymi sztywnymi włosami zachodzącymi na oczy. Gdy Jack ją o coś pytał, wzruszała tylko ramionami i pochrząkiwała, choć śledziła, co się dzieje, i wykonała swoją część pracy.

– Ta laska to kompletna świruska – Molly usłyszała, jak Jody mówi pod nosem, wychodząc po dzwonku z klasy. – Aż ciary przechodzą.

Gdy się odwróciła, napotkała wzrok Jacka, który, ku jej zdumieniu, zareagował uśmiechem.

– Moim zdaniem jest czadowa – powiedział, patrząc Molly prosto w oczy.

Po raz pierwszy, odkąd trafiła do tej szkoły, zrewanżowała się uśmiechem – po prostu nie mogła się powstrzymać.

Przez kilka kolejnych miesięcy Molly stopniowo zbierała strzępy informacji na temat Jacka. Jego ojciec był emigrantem z Dominikany. Przyjechał tu w poszukiwaniu pracy, poznał matkę Jacka podczas zrywania jagód w Cherryfield, zrobił jej dziecko, wrócił na wyspę, by gzić się z jakąś miejscową, i nigdy nie obejrzał się za siebie. Matka Jacka nie wyszła za mąż i teraz pracuje u jakiejś bogatej starszej pani w rezydencji na wybrzeżu. Wszystko wskazywałoby na to, że Jack również powinien znaleźć się na marginesie społeczeństwa, ale się tam nie znalazł. Ma kilka istotnych atutów: efektowne zagrywki na boisku, olśniewający uśmiech, wielkie sarnie oczy i komicznie długie rzęsy. I choć nie podchodzi do siebie serio, Molly wie, że jest bystrzejszy, niż daje po sobie poznać, może nawet bystrzejszy, niż mu się wydaje.

Popisy Jacka na boisku to ostatnia rzecz, jaka robiłaby na Molly wrażenie, ale inteligencja to co innego (łagodne oczy stanowią dodatkowy atut). Jej własna dociekliwość była jedyną rzeczą, która uchroniła ją przed zejściem na złą drogę. Nikt nie oczekuje, że gotka będzie respektować konwencje, więc Molly ma wolną rękę, by kultywować wszystkie swoje dziwactwa naraz. Nieustannie czyta – na korytarzach, w kawiarence – głównie powieści, których bohaterowie cierpią na egzystencjalne rozterki: *Przekleństwa niewinności*, *Buszującego w zbożu*, *Szklany klosz*. Wypisuje z nich do notesu słowa o ładnym brzmieniu: „hetera”, „kunktatorski”, „talizman”, „matrona”, „abuliczny”, „sykofancki”.

Jako nowa Molly cieszyła się z dystansu stwarzanego przez swoją maskę, z ostrożności i nieufności malujących się w oczach rówieśników. Jednak ostatnio, choć przyznałaby to niechętnie, poza ta zaczęła być ciężarem. Zadbanie o właściwy wygląd każdego ranka zajmuje całą wieczność, a rytuały, które niegdyś miały wielkie znaczenie – farbowanie włosów na kruczoczarny kolor z białymi lub fioletowymi pasemkami, malowanie oczu kohlem, nakładanie podkładu o wiele tonów jaśniejszego od jej skóry, dopasowanie i zasznurowanie niewygodnych ubrań – teraz zaczęły ją niecierpliwić. Czuje się niczym klaun w cyrku, który budzi się pewnego ranka, by stwierdzić, że nie ma ochoty po raz kolejny przyklejać sobie czerwonego nosa z gumy. Większość ludzi nie musi wkładać tyle wysiłku, by nie wypaść z roli. Czemu nie ona? Planuje, że w kolejnym miejscu, do którego trafi – bo zawsze jest jakieś kolejne miejsce, kolejna rodzina zastępcza, kolejna szkoła – przybierze nowy, łatwiejszy do utrzymania wizerunek. Może grunge’owy? Albo sexy kociaczka?

Z każdą minutą wzrasta prawdopodobieństwo, że nastąpi to raczej wcześniej niż później. Dina już od dłuższego czasu chce się pozbyć Molly, a teraz ma dobry pretekst. Ralph dawał za Molly głowę; długo przekonywał żonę, że pod włosami i makijażem dzikuski skrywa się słodka dziewczynka. No cóż, wiarygodność Ralpha to tylko wspomnienie.

Molly na klęczkach zagłąda pod koronkowy lambrekin łóżka. Wyciąga dwie kolorowe torby sportowe, które Ralph kupił jej w Ellsworth, na wyprzedazy w L.L. Bean (czerwoną z monogramem „Braden” i pomarańczową w hawajskie kwiaty z napisem „Ashley” – odrzucane przez klientów ze względu na kolor, styl lub głupkowate imiona wyszyte białą nitką, Molly nie potrafi tego rozstrzygnąć). Właśnie wysuwa górną szufladę komody, gdy spod kołdry rozlega się rytmiczne

buczenie, które przechodzi w kiepską wersję *Impacto* Daddy Yankee'a. „Żebyś wiedziała, że to ja, i odebrała ten cholerny telefon”, powiedział Jack, gdy kupił jej tę melodyjkę.

– *Hola, mi amigo* – mówi Molly, gdy wreszcie udaje jej się znaleźć komórkę.

– Hej, no co tam, *chica*?

– Ech, no wiesz. Dina jest średnio zadowolona.

– Poważnie?

– No. Kiepsko to wygląda.

– Jak kiepsko?

– Chyba jestem na wylocie.

Czuje, jak oddech grzęźnie jej w gardle. Dziwne, zważywszy na to, ile razy przeżywała już coś podobnego.

– E tam – rzuca Jack. – Nie sądzę.

– Właśnie że tak – mówi, wyciągając parę skarpet i bieliznę i wrzucając je do torby z napisem „Braden”. – Właśnie słyszę, jak o tym rozmawiają.

– Ale przecież masz wyrobić te godziny pracy społecznej.

– Nie ma takiej opcji. – Ze stosu biżuterii na komodzie bierze splątany złoty naszyjnik z wisiorkami i pociera go między palcami, próbując poluzować węzeł. – Dina mówi, że nikt mnie nie zechce. Nie budzę zaufania. – Płatanina się rozluźnia i Molly udaje się rozdzielić połówki łańcuszka. – Nie ma sprawy. Słyszałam, że poprawczak nie jest taki zły. To przecież tylko kilka miesięcy.

– Ale ty nie ukradłaś tej książki.

Przytrzymując ramieniem telefon przy uchu, Molly zakłada naszyjnik, manipuluje przy zapięciu i spogląda w lustro nad komodą. W czarnym makijażu rozmazanym pod oczami wygląda jak panda.

– Prawda, Molly?

Rzecz w tym, że ukradła. A przynajmniej próbowała. To jej ulubiona powieść, *Dziwne losy Jane Eyre*, i chciała ją mieć na własność, chciała, by należała do niej. Księgarnia Shermana w Bar Harbor nie miała jej na stanie, a Molly wstydziła się poprosić sprzedawcę, żeby ją zamówił. Dina nie podała by jej numeru swojej karty kredytowej do zakupów przez internet. Niczego dotąd tak bardzo nie pragnęła (no dobrze... przynajmniej od dłuższego czasu). Poszła więc do biblioteki, kucnęła przy wąskich regałach z beletrystyką – na półce na wysokości oczu stały trzy egzemplarze powieści, dwa w miękkiej okładce, jeden w twardej. Ten w twardej wypożyczała już dwa razy, zapisując go na swojej karcie bibliotecznej przy biurku wypożyczalni. Zdjęła wszystkie trzy książki z półki i ważyła w dłoni. Twardo oprawioną odłożyła z powrotem na miejsce, zaraz za *Kodem Leonarda da Vinci*. Nowsze, miękkie wydanie także odstawiła na półkę. Egzemplarz, który wsunęła za pas dzinsów, był stary, pożółkły, z pozagigantycznymi rogami i fragmentami podkreślonymi ołówkiem. Tania obwoluta z wyschniętym klejem zaczynała odstawać od reszty. Gdyby wystawiono ją na dorocznej wyprzedaży bibliotecznej, poszłaby za kilka centów. Nikt, sądziła Molly, nie odczuje jej braku. Zostały przecież dwa nowsze egzemplarze. Jednak niedawno biblioteka zamontowała paski magnetyczne mające przeciwdziałać kradzieżom. Kilka miesięcy temu cztery wolontariuszki, panie w średnim wieku, całym sercem oddane miejskiej bibliotece w Spruce Harbor, przez dobre kilka tygodni instalowały paski na wewnętrznej stronie okładek wszystkich jedenastu tysięcy woluminów. Więc gdy Molly opuszczała budynek, przechodząc przez – jak się okazało – bramkę, rozległo się głośne i natrętne pikanie. Sprowadziło kierowniczkę biblioteki, Susan LeBlanc, która sfrunęła nagle niczym gołąb pocztowy.

Molly przyznała się od razu, a raczej próbowała ją przekonać, że zamierzała wypisać rewers. Ale Susan LeBlanc za nic miała takie tłumaczenia. „Na litość boską, nie obrażaj mnie łganiem – skwitowała. – Obserwowałam cię, czułam, że coś knujesz”. Wielka szkoda, że jej przypuszczenia się potwierdziły! A tak bardzo chciała się mile rozczarować, chociaż raz.

– O kurde. Naprawdę? – wzdycha Jack.

Patrząc w lustro, Molly przebiega palcami po wisiorach na szyi. Rzadko już je nosi, ale przeprasza się z nimi za każdym razem, gdy stanie się coś złego i gdy przeczuwa, że znowu szykuje się przeprowadzka. Łańcuszek kupiła w sklepie dyskontowym U Mardenów, w Ellsworth, i nanizła na niego te trzy zawieszki – niebiesko-zieloną rybkę z emaliowanych koralików, cynowego kruka i maleńkiego brązowego misia – które ojciec podarował jej na ósme urodziny. Zginął tydzień później w wypadku samochodowym – pędził nocą po oblodzonej dziewięćdziesiątcepiątce i dachował – a jej matka, zaledwie dwudziestotrzyletnia, załamała się i już nigdy się z tego nie otrząsnęła – to była równia pochyła. Kolejne urodziny Molly spędzała już w nowej rodzinie, a matka w więzieniu. Te wisioriki to wszystko, co pozostało z jej dawnego życia.

Jack to miły chłopak. Ale Molly jak zawsze spodziewa się tego samego. W końcu, jak wszyscy inni – pracownicy społeczni, nauczyciele, przybrani rodzice – także i on będzie miał dość, poczuje się oszukany, zda sobie sprawę, że więcej z Molly kłopotu, niż jest tego warta. Choć bardzo chce żywić do niego uczucie, choć pozwala mu wierzyć, że już tak jest, tak naprawdę nigdy sobie na to nie pozwoliła. Nie chodzi o to, że udaje, po prostu coś w niej zawsze ściąga cugle. Nauczyła się kontrolować emocje. Zawsze sobie wtedy wyobraża, że jej klatka piersiowa to przepastna skrzynia zamykana na kłódkę. Otwiera ją, upycha tam wszystkie uczucia, z którymi sobie

nie radzi, każdy niekontrolowany smutek czy żal, i dociska wieko.

Ralph także próbował dostrzec w niej dobro. Ma do tego wyjątkowy talent. Widzi je nawet tam, gdzie go nie ma. I choć Molly jest wdzięczna za pokładane w niej nadzieje, to nie do końca w to wierzy. Chyba już łatwiej jest z Diną, ta przynajmniej nie próbuje ukrywać swoich podejrzeń. Lepiej zakładać, że ludzie mają cię w nosie, niż przeżyć zawód, gdy nie spełnią twoich oczekiwań.

- *Dziwne losy Jane Eyre?* - pyta Jack.

- A jakie to ma znaczenie?

- Kupiłbym ci ją.

- No cóż...

Nawet gdyby wiedziała, że wpakuje się w taką kabałę i że najprawdopodobniej skończy się to odprawieniem jej z domu, nigdy nie poprosiłaby Jacka o tę książkę. Jeśli da się wytypować jedną, najbardziej znienawidzoną przez Molly rzecz związaną z opieką zastępczą, to będzie to zależność od ludzi, których prawie się nie zna, i konieczność znoszenia ich humorów. Nauczyła się niczego od nikogo nie oczekiwać. Często zapominają o jej urodzinach; jest dla nich jak miraż. Musi zadowalać się tym, co dostaje, a to, co dostaje, rzadko jest tym, czego sobie życzyła.

- Jesteś cholernie uparta - mówi Jack, czytając w jej myślach. - Patrz, w jakie kłopoty się wpakowałaś.

Ktoś głośno puka do drzwi. Molly przykłada telefon do piersi i patrzy, jak gałka w drzwiach się przekręca. Kolejna sprawa - brak zamka, zero prywatności.

Dina wsuwa głowę do środka, usta, zabarwione różową pomadką, układa w wąską kreskę.

- Musimy pogadać.

- W porządku. Tylko skończę rozmawiać przez telefon.

- Z kim rozmawiasz?

Molly waha się. Czy musi odpowiadać? Ech, co za różnica.

- Z Jackiem.

- Pośpiesz się. Nie mamy na to całej nocy. - Dina marszczy brwi.

- Zaraz przyjdę. - Molly patrzy obojętnie na Dinę i czeka, aż jej głowa zniknie za framugą drzwi, po czym z powrotem przykłada telefon do ucha. - Czas na egzekucję.

- Nie, czekaj - mówi Jack. - Mam pomysł. Trochę... od czapy.

- Co znowu? - rzuca Molly ponuro. - Muszę iść.

- Rozmawiałem z mamą...

- Jack, mówisz poważnie? Powiedziałeś jej? No to już mnie nienawidzi.

- Hej, posłuchaj mnie do końca. Po pierwsze, wcale cię nie nienawidzi. Po drugie, rozmawiała ze swoją pracodawczynią i wygląda na to, że mogłabyś u niej odpracować te godziny.

- Co takiego?

- No tak.

- Ale... jak?

- Wiesz pewnie, że moja mama jest najsłabszą gospodynią pod słońcem.

Molly uwielbia sposób, w jaki o tym mówi - beznamietnie, nie wartościując, jakby konstatował najoczywistszą prawdę: jego matka ma dwie lewe ręce.

- Więc ta pani chce posprzątać swój strych: stare gazety, pudła i takie tam badziewie. Dla mojej mamy to największy koszmar, jaki może sobie wyobrazić. Więc zasugerowałem, że ty mogłabyś to zrobić. Daję głowę, że odhaczyłabyś tam te swoje pięćdziesiąt godzin z palcem w nosie.

- Chwileczkę... chcesz, żebym sprzątała strych jakiejś starszki?

- No. To powinno ci się spodobać, nie sądzisz? Wiem przecież, że masz osobowość analną. Nie próbuj zaprzeczać. Wszystkie rzeczy masz równiutko ułożone na półce. Wszystkie papiery w segregatorach. A twoje książki? Nie stoją przypadkiem w porządku alfabetycznym?

- Zauważyłeś?

- Znam cię lepiej, niż ci się wydaje.

Molly nie może zaprzeczyć, że lubi utrzymywać porządek. W gruncie rzeczy ma na jego punkcie świra. Przy tylu przeprowadzkach nauczyła się dbać o nieliczne przedmioty, które są jej własnością. Ale do tego pomysłu nie jest przekonana. Sama, na zakurzonej strychu, dzień w dzień, sortując szpargały jakiejś obcej kobiety.

A jednak... zważywszy na alternatywę...

- Ona chciałaby się z tobą spotkać - mówi Jack.

- Kto?

- Vivian Daly. Ta starsza pani. Zaprasza cię na...

- Rozmowę. Muszę przejść rozmowę kwalifikacyjną, to chcesz mi powiedzieć?

- To część umowy - odpowiada. - Wchodzisz w to?

- A mam wybór?

- No pewnie. Możesz iść do kicia.

- Molly - warczy Dina, waląc w drzwi. - Natychmiast wyjdź!

- Dobrze! - woła, a potem zwraca się do Jacka: - Dobrze.

- Co dobrze?

- Zrobię to. Pójdę i spotkam się z nią. Odbędę z nią tę rozmowę kwalifikacyjną.

- Super - podsumowuje. - Aha, i nie zaszkodziłoby, gdybyś włożyła spódnicę czy coś, no wiesz. I może wyjęła kilka kolczyków.

- A kolczyk w nosie?

- Szalenie mi się podoba – mówi – ale...
- Rozumiem.
- Tylko na to pierwsze spotkanie.
- Nie ma problemu. Słuchaj, dzięki.
- Nie dziękuj mi za to, że działałam we własnym interesie – odparowuje. – Po prostu chcę, żebyś pobyła tu jeszcze trochę.

Molly otwiera drzwi sypialni wprost na napięte i zaniepokojone twarze Ralpa i Diny. Wita ich uśmiechem.

- Możecie już się nie martwić. Znalazłam sposób na odpracowanie tych godzin.

Dina obrzuca Ralpa spojrzeniem, które Molly, przez lata praktyki nauczona odczytywać sygnały wysyłane przez przybranych rodziców, doskonale zna.

- Zrozumiem, jeśli zdecydujecie, że mam odejść. Coś sobie znajdę.

- Nie chcemy, żebyś odchodziła – mówi Ralph.

- Musimy o tym porozmawiać – jednocześnie stwierdza Dina.

Patrzają jedno na drugie.

- Jak chcecie – kwituje Molly. – Jeśli się nie uda, nie ma sprawy.

I w tej samej chwili, z animuszem, który udzielił się jej od Jacka, konstatuje, że naprawdę nie ma sprawy. Jeśli się nie uda, to się nie uda i tyle. Już dawno zauważyła, że przeżyła wszystkie rozczarowania i zdrady, których ludzie tak bardzo przez całe życie się obawiają. Ojciec nie żyje. Matka w rozsypce. Ona sama raz po raz przekazywana i odrzucana. A mimo to wciąż oddycha, śpi, rośnie. Co rano budzi się i ubiera. Więc mówiąc „nie ma sprawy”, ma na myśli to, że wytrzyma prawie wszystko. A teraz, po raz pierwszy, odkąd pamięta, ma kogoś, kto się o nią troszczy (swoją drogą, co z nim nie tak?).

Spruce Harbor, Maine 2011

Molly bierze głęboki oddech. Dom jest większy, niż się spodziewała – biały wiktoriański monolit z ornamentami i czarnymi okiennicami. Przez szybę samochodu widzi, że jest zadbane – zero łuszczącej się farby, ani śladu pleśni, najwyraźniej świeżo odmalowany. Starsza pani na pewno zatrudnia zastęp ludzi, by nieustannie go doglądali – armia pszczół robotnic w służbie królowej.

Jest ciepły kwietniowy poranek. Ziemia jest pulchna od stopniałego śniegu i deszczu, ale to jeden z tych rzadkich, niemal przyjemnych dni, które zwiastują nadejście wspaniałego lata: świetliście błękitne niebo z dużymi obłokami jak wata, wszędzie dookoła kępki krokusów.

– Okej – mówi Jack. – Sprawy mają się tak: to miła pani, ale trochę sztywniacka. Rozumiesz, nie zawsze rzuca dowcipami jak z rękawa. – Parkuje samochód i ściska Molly za ramię. – Po prostu skiń głową i się uśmiechnij, a wszystko pójdzie jak z płatka.

– Mówiłeś, że ile ma lat? – mamrocze Molly.

Irytuje ją to, że czuje się podenerwowana. Też mi wielka sprawa! Jakaś stara chomikara potrzebuje pomocy, by pozbyć się swojego badziewia. Oby tylko nie było to nic obrzydliwego ani śmierdzącego, jak w domach tych rupieciarzy pokazywanych w telewizji.

- Nie wiem. Dużo. A przy okazji, ładnie wyglądasz - dodaje Jack.

Molly wydaje z siebie jęk. Ma na sobie różową bluzkę marki Lands' End pożyczoną na tę okazję od Diny. „Ledwo cię mogę poznać - skomentowała oschle Dina, gdy Molly wyszła w niej ze swojej sypialni. - Wyglądasz... jak dama”.

Na prośbę Jacka wyjęła z nosa kolczyk i zostawiła tylko po dwa wkręty w każdym uchu. Poświęciła więcej czasu niż zwykle na makijaż - wymieszała podkłady, by uzyskać odcień o ton ciemniejszy niż trupio blady, i oszczędniej posłużyła się eyelinerem. Kupiła nawet w drogerii różową szminkę - Maybelline Wet Shine Lip Color in Mauvelous - której nazwa doprowadza ją do ataku śmiechu. Zdjęła liczne pierścionki, kupione w sklepie charytatywnym, i zamiast codziennego zestawu ciężkich krucyfiksów i srebrnych czaszek założyła łańcuszek z wisiorami od taty. Włosy zostawiła bez zmian - czarne, z białymi pasemkami po obu stronach twarzy - paznokcie też ma pomalowane na czarno, ale nie ulega wątpliwości, że postarała się, jak to ujęła Dina, by upodobnić się do człowieka.

Po tym jak Jack oddał strzał rozpacz, Dina niechętnie zgodziła się dać Molly jeszcze jedną szansę. „Już widzę, jak sprzątasz strych staruszki - prychnęła. - Daję ci góra tydzień”.

Molly bynajmniej nie oczekiwała wotum zaufania ze strony Diny, ale sama też miała wątpliwości. Naprawdę poświęci pięćdziesiąt godzin życia jakiejś zręczliwej chomikarce w jej pełnej przeciagów rupieciarni, przebierając w pudłach z ćmami, roztoczami i Bóg wie czym jeszcze? W poprawczaku spędziłaby ten czas na terapii grupowej (a ta jest zawsze interesująca) i na oglądaniu *The View* (co jest dość interesujące). Miałyby koleżanki. A tutaj tylko Dinę w domu i tę staruszkę, pilnującą jej na każdym kroku.

Molly patrzy na zegarek. Są pięć minut za wcześnie, dzięki Jackowi, który poganiał ją do wyjścia.

– Pamiętaj: kontakt wzrokowy – mówi. – I nie zapomnij się uśmiechać.

– Ależ z ciebie mamuśka.

– Wiesz, jaki jest twój problem?

– Taki, że mój chłopak zachowuje się jak mamuśka?

– Nie. Problem polega na tym, że najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy, że możesz za to oberwać po tyłku.

– Oberwać? Od kogo oberwać? – rozgląda się, wiercąc się na siedzeniu.

– Słuchaj. – Jack gładzi się po podbródku. – Moja mama nie powiedziała Vivian o poprawczaku i całej reszcie. Wie tylko, że odrabiasz godziny społeczne dla szkoły.

– Więc nie wie nic o mojej kryminalnej przeszłości? Niech cię cholera.

– *Ay diablo* – mówi, otwierając drzwi, i wysiada.

– Wybierasz się tam ze mną?

Trzaska drzwiami, obchodzi samochód od tyłu i otwiera drzwi od strony pasażera.

– Nie. Zamierzam cię odprowadzić do drzwi.

– A niech mnie. Dżentelmen się znalazł. – Wyślizguje się z samochodu. – A może boisz się, że dam nogę?

– Szczerze mówiąc, i to, i to – odpowiada.

Molly stoi przed wielkimi orzechowymi drzwiami z ogromną mosiężną kołatką i nie może się zdecydować. Odwraca się, by spojrzeć na Jacka – siedzi w samochodzie i przegląda podniszczony zbiór opowiadań Junota Díaza, który wozi w schowku. Molly stoi prosto, ze ściągniętymi łopatkami, wkłada włosy za uszy, poprawia kołnierzyk bluzki (kiedy to ostatnio nosiła

kołnierzyk? Obrozę to i owszem...)). Uderza kołatką. Nikt nie odpowiada. Uderza raz jeszcze, trochę głośniej. Po lewej stronie drzwi zauważa dzwonek, naciska. Rozlega się głośna melodyjka kurantowa i po kilku sekundach zjawia się Terry, mama Jacka, pędząc ku niej z zatroskaniem wymalowanym na twarzy. Zawsze czuje się dziwnie, widząc wielkie brązowe oczy Jacka na pełnej i delikatnej twarzy jego matki.

Choć Jack zapewniał Molly, że jego mama jest zachwycona całym pomysłem („Ta cholerna robota na strychu wisi nade mną od tak dawna, nie masz pojęcia”), Molly wie, że sprawa jest bardziej złożona. Terry kocha swojego jedynaka nad życie i przystałaby na wszystko, by go uszczęśliwić. Choć Jack jest przekonany, że Terry przyklasnęła jego planowi, Molly zdaje sobie sprawę, że zostało to na niej wymuszone.

Terry otwiera drzwi i obrzuca dziewczynę spojrzeniem.

- No cóż, lepiej dobrze tam wysprzątaj.

- Dzięki - bez przekonania mamrocze pod nosem Molly.

Trudno stwierdzić, czy strój Terry jest mundurkiem, czy jest tak nijaki, że go przypomina: czarne spodnie, liche czarne buty na gumowej podeszwie, matronowaty brzoskwiniowy podkoszulek.

Molly idzie za nią długim korytarzem obwieszonym obrazami olejnymi i akwafortami w pozłacanych ramach; orientalny chodnik na podłodze wycisza ich kroki. Na końcu korytarza znajdują się zamknięte drzwi.

Terry na chwilę przykłada do nich ucho, po czym cicho puka.

- Vivian - rzuca i uchyla drzwi - przyszła ta dziewczyna, Molly Ayer.

Otwiera szeroko drzwi na przestronny, słoneczny salon z widokiem na zatokę, z antycznymi meblami i regałami na książki sięgającymi od podłogi po sufit. Przy oknie

w czerwonym spłowiałym fotelu z wysokim oparciem siedzi starsza pani; żyłaste dłonie splecione ma na podołku, kolana przykryte wełnianym kocem w szkocką kratę; nosi czarny kaszmirowy półgolf.

Gdy stają naprzeciw niej, Terry mówi:

– Molly, to pani Daly.

– Dzień dobry – odpowiada Molly, podając dłoń, jak uczył ją ojciec.

– Dzień dobry. – Ręka kobiety jest sucha i chłodna. To żwawa pająkowata kobieta, z wąskim nosem i przeszywającymi błękitnymi oczami, jasnymi i bystrymi niczym u ptaka. Ma cienką skórę, niemal przezroczystą. Faliste siwe włosy upięte na karku w kok, twarz upstrzona delikatnymi piegami (a może starczymi przebarwieniami?), topograficzna mapa żył pokrywająca jej ręce i nadgarstki, wokół oczu mnóstwo cieniutkich zmarszczek. Przypomina zakonnice z katolickiej szkoły w Auguście, do której kiedyś uczęszczała (krótkotrwały postój u źle dobranej rodziny zastępczej) – w pewnym sensie sędziwe, a w innym nadnaturalnie młodzieńcze. Podobnie jak zakonnice, kobieta ma w sobie coś władczego, jakby przywykła do stawiania na swoim. A czemu miałoby być inaczej? – zastanawia się Molly. Po prostu jest przyzwyczajona do stawiania na swoim.

– Dobrze więc. Będę w kuchni, gdyby pani mnie potrzebowała – mówi Terry i znika za drzwiami.

Staruszka nachyla się ku Molly i lekko marszczy czoło.

– Jak, u licha, udaje ci się osiągnąć taki efekt? Paski skunksa – mówi, pocierając skroń.

– Hmm... – Molly jest zdumiona; nikt jeszcze o to nie pytał. – Za pomocą mieszanki rozjaśniacza i farby.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– Widziałam film na YouTube.

- Na YouTubie?

- W internecie.

- Ach. - Unosi podbródek. - Komputery. Za stara jestem na takie przelotne mody.

- To chyba nie jest przelotna moda, skoro odmieniła życie nas wszystkich - stwierdza Molly i uśmiecha się ze skruchą, zdawszy sobie sprawę, że właśnie wdała się w dyskusję ze swoją potencjalną szefową.

- Ale nie moje - kwituje staruszka. - To pewnie zajmuje mnóstwo czasu.

- Co?

- Zrobienie takich włosów.

- Nie jest tak źle. Mam już wprawę.

- Jaki jest twój naturalny kolor włosów, jeśli mogę spytać?

- Oczywiście - odpowiada Molly. - Ciemnobrązowy.

- Mój naturalny to rudy. - Molly dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że kobieta żartuje ze swojej siwizny.

- Podoba mi się to, co pani z nimi zrobiła - odparowuje Molly. - Pasuje pani.

Kobieta reaguje skinieniem głowy i rozsiada się w fotelu. Najwyraźniej jest zadowolona z odpowiedzi. Molly czuje, że napięcie częściowo z niej odpływa.

- Wybacz moją bezpośredniość, ale w moim wieku nie ma sensu owijać w bawełnę. Twój wygląd jest bardzo stylowy. Czy jesteś może jedną z tych, jakże się one nazywają, gotek?

- Tak jakby... - Molly nie może powstrzymać uśmiechu.

- I pewnie pożyczyłaś tę bluzkę specjalnie na tę okazję?

- Uhm...

- Zbyteczny trud. Nie pasuje ci. - Pokazuje gestem, by Molly usiadła naprzeciwko. - Możesz mi mówić Vivian. Nigdy nie lubiłam, jak zwracano się do mnie „pani Daly”. Mój mąż już nie żyje, no wiesz.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Zmarł osiem lat temu. No cóż, mam dziewięćdziesiąt jeden lat. Niewiele spośród osób, które znałam, nadal żyje.

Molly nie bardzo wie, co odpowiedzieć. Czy to uprzejme mówić ludziom, że nie wyglądają na swój wiek? Nigdy by nie pomyślała, że ta kobieta ma dziewięćdziesiąt jeden lat, ale na jakiej niby podstawie może czynić takie porównania? Rodzice jej ojca zmarli, gdy on był jeszcze młody; rodzice matki nigdy nie byli małżeństwem i dziadka w ogóle nie poznała. Molly pamięta jedynie babcię ze strony matki, która zmarła na raka, gdy Molly miała trzy lata.

- Terry mówiła, że jesteś w rodzinie zastępczej - mówi Vivian. - Jesteś sierotą?

- Moja matka żyje, ale tak, uważam się za sierotę.

- Ale, formalnie rzecz biorąc, nią nie jesteś.

- Jeśli ktoś nie ma rodziców, którzy się nim zajmują, to może się nazywać, jak mu się tylko podoba.

Vivian patrzy na nią długo, jakby rozważała te słowa.

- Uczciwe postawienie sprawy - stwierdza. - No to opowiedz mi coś o sobie.

Molly przez całe życie mieszkała w Maine. Nigdy nawet nie przekroczyła granicy stanu. Pamięta to i owo z dzieciństwa w Indian Island, zanim trafiła do zakładu opiekuńczego: poszarzałą przyczepę, w której mieszkała z rodzicami na parkingu dla tirów, dom gry w bingo imienia Louisa Sockalexisa i kościół św. Anny. Przypomina sobie indiańską lalkę wyrzeźbioną w drewnie, z czarnymi włosami i w tradycyjnym stroju, którą trzymała na półce w swoim pokoju. Wolała jednak Barbie, które organizacje charytatywne rozdawały na Gwiazdkę w domu kultury. Oczywiście nigdy nie były to najpopularniejsze modele, żaden tam Kopciuszek czy Królowa

Piękności, ale dziwaczki, jakie można było upolować na wyprzedazach: retro-Barbie czy Barbie Tarzanka. Nie miało to jednak większego znaczenia. Strój Barbie mógł być nietypowy, ale jej cechy charakterystyczne pozostawały bez zmian: specyficznym wyprofilowane stopy, jakby gotowe do nałożenia szpilek, talia pozbawiona żeber, zadarty nosek i błyszczące poliestrowe włosy...

Ale Vivian nie to chce usłyszeć. Od czego zacząć? Co wyjaśnić? Oto problem. Nie jest to szczęśliwa historia i Molly wie z doświadczenia, że po jej wysłuchaniu ludzie wzdragają się, nie dowierzają lub – co gorsze – litują się. Na te potrzeby ma wersję skróconą.

– No więc – zaczyna – ze strony ojca jestem Indianką Penobscot. Gdy byłam małą, mieszkaliśmy w rezerwacie nieopodal Old Town.

– Aha. Stąd te ciemne włosy i plemienny makijaż.

Molly się dziwi. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by połączyć te dwie rzeczy. Czy to prawda? Jakoś w ósmej klasie – był to wyjątkowo burzliwy rok: wściekli, rozwrzeszczani przybrani rodzice, zazdrosne przybrane rodzeństwo, w szkole paczka złośliwych dziewczuch – kupiła opakowanie farby do włosów L'Oréala i hebanowy eyeliner Cover Girl i w domowej łazience przeszła metamorfozę. Tydzień później przyjaciółka zatrudniona w salonie Clair w centrum handlowym zrobiła jej dziurki: cały rząd w uchu, aż do chrząstki, wkręt w nosie i kolczyk w brwi (ten ostatni się nie utrzymał: wdała się infekcja i trzeba go było usunąć; blizna, która pozostała, wygląda jak pajęczyna). Kolczyki przesądziły o tym, że w końcu rodzina zastępcza się jej pozbyła. Zadanie wykonane.

Molly ciągnie swoją pobieżną relację: jak zginął ojciec i jak matka nie radziła sobie z obowiązkami wychowawczymi, jak w końcu wylądowała u Ralpha i Diny.

- Terry mówiła, że masz do wykonania jakieś prace społeczne. I wpadła na ten genialny pomysł, żebyś pomogła mi w sprzątanii strychu - mówi Vivian. - Średni to dla ciebie interes, ale nie mi to mówić.

- Można powiedzieć, że jestem pedantką. Może pani wierzyć lub nie. Lubię sprzątać.

- W takim razie jesteś jeszcze dziwniejsza, niż sugeruje twój wygląd. - Vivian rozpiiera się w fotelu i klaszcze w dłonie. - Coś ci powiem. Zgodnie z twoją definicją też zostałam osierocona. Mniej więcej w tym samym wieku co ty. Mamy więc ze sobą coś wspólnego.

Molly nie bardzo wie, jak zareagować. Czy Vivian chce, by zaczęła ją wypytywać, wtykać nos w to, co wydaje jej się czyjąś prywatną sprawą, a może tylko kładzie kawę na ławę. Trudno stwierdzić.

- Pani rodzice - ośmiela się zapytać - nie zajmowali się panią?

- Robili, co mogli. Był pożar... - Vivian wzrusza ramionami. - To było tak dawno, ledwo pamiętam. No dobrze. Kiedy zaczynasz?